

„Gdzie kochał królewicz...”

Janowiecki zamek w cieniu nocy zimowej

Pierwszy śnieg przyprószył już Janowiecką górę i ruiny zamku, jest miękki i śliski, to też z jakimś trudem pniemy się dość stromą i pełną gruzu drogą do bramy. Bury zmierzch wczesnego zimowego wieczora snuje się powietrzem i tylko zachód wąskim pasem ciemniejącej czerwieni i fioletu daje jeszcze jakieś takie światło.

Idziemy już dość długo, i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zamek — ciężkim, rozległym wałem murów piętrzący się na górze, co fa się i ucieka przed nami. Ciągłe tak samo widzę jego czarne poszarpane czasem zębry, odkryte szczyty, tu i tam różowięjącym od zorzy śniegiem. Kilka okien, przez które wygląda pustka pali się tylko rudyem pożarem zachodu. Zanim jednak weszliśmy na górę zrobiło się zupełnie ciemno.

ZAMEK DUCHÓW

W zamku jest tak cicho, że słyszysz wyraźnie szum własnej krwi w uszach. Jest mi trochę straszno, w pamięci wstają wszystkie bajki o duchach jakie kiedykolwiek słyszałam. Przechodząc właśnie przez ongiś wzdłuż mostu. Nie wiem dlaczego staram się iść jak najciszej, ale i tak zbyt mocno dudnią kroki po deskach odbijane głuchym echem gdzieś w głębi mrocznej, głębokiej fosy. Boję się budzić tego echa, bo może zwabiony hałasem zjawi się nagle przed nami upiór burgrabia — klucznika żądając jakichś wyjaśnień?

„STROI BABA FIRLEJE”

Przez długi tunel bramy zięcej strachem ciemni i stęchliżną wilgoci, prawie, że przebiegamy. Stare, zrujnowane zamki naprawdę ładne są tylko w nocy, ale ni jak wtedy po nich chodzić żyjącym. Śmierć szczyrzy zęby oblamnymi zębami murów, patrzy z kątów zielonymi oczami świecącego próchna, śmieje się szyderczym krzykiem sów i liczy godzinę upływającego czasu monotonnym szmerem podających kropli wilgoci, usłusznie otwiera pod nogami dziury i wyrwy, ciągnie urokiem pokretnych korytarzy i lochów z których można już nie wyjść.

A w Janowieckim zamku można by nawet zabić. Piotr Firlej który w 1537 r. a więc 400 lat temu przystąpił do budowy tego ko-

losu, nie żałował kosztów, co mu tym łatwiej przyszło, że pod ręką byli poddani Janowieccy i w zapasie królowa Bona słynna przecież przysłówiem: „Stroi baba Firleje” — wiecznie wiersz Krasickiego: „Co się przy pańskich dworach dość zwyczajnie dzieje — tym, co zdarła od drugich, stroiła Firleje”. I tak stał się magnacki zamek o 7 salach, rotundowej kaplicy i 98 pokojach nie licząc schowków i podziemi.

MANE TEKEL PHARES

Dziś ta świetność należy już do bezpowrotnej przeszłości. Z wielkiego zamku tylko ogromne mury pozostały w wpół zatartymi freskami i resztkami złoci. Re-

stauracja pociągnęłaby za sobą wydatki w kwocie większej, niż milion złotych.

Młody księżyc zieloną omastą smaruje teraz mury. Ze ścian w dawnej kaplicy patrzą w wieczność oczy Chrystusa w zszarzałej od deszczów twarzy. Sic transit gloria mundi. Al fresco również malowane portrety przodków rodu Lubomirskich zniszczały już zupełnie. Stuk sztonów w karcianym klubie raz na zawsze wyposzył życie z zamku. W jedną noc 1783 r. Marcin Lubomirski przegrał swoją rezydencję. Białą kredą na zielonym suknie sumując przegraną, napisał jednocześnie: „Mane, tekel, phares” sobie i zamkowi.

WENUS JANOWIECKIEGO OLIMPU

Z trudem pnąc się po przewoźnych rusztowaniach wędrujemy do małego pokoiku w narożnej baszcie. Pokoik jest dobrze za konserwowany i umeblowany, na ścianach ma wymalowany Olimp. „Wenery mu brakowało, teraz ją posiada” — powiedział ongiś, pełen galanterii dla dam, ks. Marcin Lubomirski wprowadzając tu Franciszkę Krasinską, późniejszą, nieszczęśliwą żonę królewicza polskiego Karola Kurlandzkiego.

W tym właśnie zamku, pod opieką lubiącego się w romantycznych sytuacjach Marcina Lubomirskiego, w stworzonej przez niego ciepłarnianej atmosferze, rozwijał się nieszczęśliwie zakończony romans Ks. Marcina dla upozorowania czymś bytności królewicza w zamku, o zakład z jednym ze swoich krewnych, w cztery tygodnie stawał opodał zamku myśliwski pałacyk ze zwierzyńcem dla ks. Karola.

W pokoiku Franciszki Krasinską, są — jak pisze sama Krasinska w swych pamiętnikach — „...okna na trzy strony, z każdego czarujący widok. W jednym najczęściej siedzę, bo mnie nad wszelki wyraz i ta perspektywa i ten wzrastający pałacyk zajmują”.

POEZJA MIŁOŚCI KRÓLEWICZA

Nie mogę oprzeć się chęci wyrażenia przez to okno. W księżycowym sinym półmroku ściele się pusta, daleka przestrzeń, na której nie ma już śladu pałacyku i zwierzyńca. Zniknęły także strzyżone francuskie ogrody okalające zamek, te ogrody, w których cieniu zakochany królewicz poetycznie szepotał słowa miłości: „...Ty królową moją, Tyś na przód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Ty jedna, luboś mnie kochała, unikałaś mnie zawsze, zgadywać trzeba było co czujesz. A jeśli królem polskim być pragnę, to dlatego najwięcej, abym to piękne czoło koroną uwieńczył”.

Akompaniamentem wyznań były śpiewania sówików, bo ciche zaryczy zakochanej pary odbyły się 18 maja 1760 r. Teraz sówiki nie śpiewały, ale czar miłości pozostał w murach Janowieckiego zamku. Za bardzo i za wiele w nim kochano, by mógł być innym.

W ruinach rozległych komnat, na zamkowym podwórku, niegdys kruzgankami otoczonym ciżba i pustka jak w grobie. Grobem jest cały zamek, ale grobem najbujniejszego wykultu życia kwiatu miłości.

Alkar.

Z muzyki

Sukcesy sztuki polskiej zagranicą

W okresie, gdy opera warszawska upada głównie z powodu nieudolnego kierownictwa — co za tym idzie — braku funduszy na jej odpowiednie prowadzenie, polska sztuka tańeczna święci raz po raz triumfy zagranicą.

Po udanych objazdach artystycznych Parnella i Ciepińskiego, po żywiołowym sukcesie „Harnasiów” Szymanowskiego, wystawionych samodzielnie przez operę państwową w Hamburgu — kolej przyszła na Polski Balet.

Sformowany trochę pośpiesznie, lecz gruntownie wytrenowany przez naszą znakomitą rodaczkę Bronisławę Niżyńską (z pochodzenia góralkę) wyjechał nowy balet na premierowe przedstawienie do Paryża. Jak by się dziwnym nie wydawało, że pominięto Warszawę w chwili startu nowej jednostki artystycznej, nie można temu odmówić pewnych cech słuszności, jeśli wziąć pod uwagę, że chodziło o włączenie przedstawień baletowych do ram imprez Wystawy Paryskiej i że premiera odbyła się za ledwie na tydzień przed jej zamknięciem.

Z całą obiektywnością stwierdzić można, że Balet Polski okazał się nie tylko doskonałym, całkowicie na wysokości swego zadania, i to z gruntu polskim, lecz także że zdobył sobie ogólne uznanie wśród obcych. Poważna zasługa Niżyńskiej polegała na tym, że potrafiła ona w krótkim stosunkowo czasie z bardzo utalentowanego materiału ludzkiego uczynić pierwszorzędną tancerzy i tancerki, zaszczepić w nich poczucie ładu, rytmu, podstaw wirtuozowskiej techniki i dyscypliny estradowej.

Co do rdzenia polskiego charakteru choreografii Niżyńskiej nie można mieć żadnych wątpliwości. Potrafiła ona, jak mało kto — podkreślić z zadziwiającą siłą właśnie najbardziej polskie pierwiastki w tańcu. Doskonałe scenariusze dopełniły resztę.

„Baśń Krakowska” według pomysłu L. H. Morstina z muzyką M. Konradkiego, dała przekrój polskiej kultury średniowiecza, potracając o tak bardzo charakterystyczną dla duszy

polskiej nutę głębokiej pobożności i żarliwej wiary. Modlitwa zbawi Twaradowskiego od piekła — oto synteza pierwszego baletu — pantominy, uroczajnego gorącymi oberkami, wesolymi krakowiakami przekepek i żaków oraz barwnymi dekoracjami T. Roszkowskiej. Drugi balet — choreograficzna transpozycja koncertu e - moll Chopina był równie udany. Prasa francuska nazywa go arcydziełem wyrafinowanego kunsztu tańczego, a obydwoj solistom: O. Sławskiej i N. Juszkiewiczównie poświęca całe szpalty, promując je na gwiazdy. Folklorystyczny balet „Pieśń o ziemi” R. Palestra zawierał trzy rdzenie polskiej sceny obrzędowej: Sobótki, Wesele i Dożynki za inscenizowane z tak sugestywną siłą, że wywołały one ogólne poruszenie na sali i podziw zwłaszcza dla pięknej postawy kosiarzy. Udane dekoracje Borowskiego podniosły jeszcze wartość tych dwóch baletów.

Podobnie interesująco wypadł balet B. Woytowicza p. t. „Powrót”, oparty na swojskiej fabule: powrót sfrancuziałego Polaka do kraju i jego przemiana duchowa pod wpływem miłości do pięknej polskiej panny. Lorentowicz - Karwowska zrobiła bardzo interesujące kostiumy i dekoracje do tego stylowego baletu. „Apollon wieczysty” L. Różyckiego stanowił transpozycję tańczęj motywu „Erosa i Psyche” (na przestrzeni kilku wieków dziejów ludzkości) w dekoracjach W. Borowskiego.

Muzyka do wszystkich baletów, za wyjątkiem Różyckiego, była w zupełności udana i okazała się na poziomie.

Prasa francuska (około 50 sprawozdań) odniosła się do naszego nowego baletu bardzo życzliwie, przepowiadając mu wspaniałą przyszłość. Grand Prix wystawy 1937 r., liczne medale i szereg wyróżnień doskonałego młodego kapelmistrza Mieczysława Mierzejewskiego, stanowią wymowny dowód uznania Francji i Europy dla naszego dzielnego zespołu, który niewątpliwie przy pierwszej okazji podbije Warszawę i przekona niedowiarków o swych pozytywnych, prawdziwie polskich walorach.

Michał Kondracki.

Biurokracja amerykańska Sędzia skazuje sam siebie

Nie dawno jeden ze znanych amerykańskich prawników, sędzia William Grimm z Pittsburga przeprowadził niezwykle ciekawą rozprawę. Pozostawił on swe auto przed domem, w którym pozostał do późnego wieczoru. Po wyjściu spostrzegł z przerażeniem, że światła w jego samochodzie są zgaszone. W Ameryce karze się surowo za zgaszenie światła w aucie nawet wtedy, gdy ono stoi na ulicy, czekając na szofera czy właściciela.

William Grimm udał się na tychmiejst do swojej kancelarii, gdzie właśnie rozpatrywał podobne sprawy i sam napisał na siebie skargę, po czym natych-

miast rozpatrzył sprawę. Aby jednak zasądzić Williama Grimm'a, potrzebna było świadka, którym też został William Grimm.

W wyniku sędzia William Grimm zasądził właściciela samochodu Williama Grimm'a na 10 dolarów kary. Wówczas św. Grimm wystawił sobie rachunek na 10 dolarów, kosztów za to, że stawiał się do sądu. Wobec tego sędzia William Grimm schował z powrotem do portmonetki 10 dolarów, które poprzednio wyjął stamtąd i całą sprawę szczegółowo zaprotokółował.

Skrupulatność godna ex-urzędników!

Czytelnia dla młodzieży przy Bibliotece na Koszykowej

W dniu wczorajszym przekazana została Dyrekcji Biblioteki Publicznej nowowytbudowana oficyna głównego gmachu Biblioteki przy ul. Koszykowej. W oficynie znajdzie pomieszczenie szereg placówek Biblioteki, a wśród nich — czytelnia dla młodzieży przeznaczona dla gimnazjistów oraz uczniów liceów.

Będzie to pierwsza biblioteka tego rodzaju na terenie Warszawy; będzie to bowiem nie tylko czytelnia o charakterze użytkowym, lecz i badawczym w zakresie czytelnictwa tej kategorii młodzieży.

Czytelnia zajmie pięknie wyposażoną salę na I piętrze, obliczoną na 800 i 1000 czytelników.

Czytelnia dla młodzieży zaopatrzona

KTO STAŁE CZYTUJE ABC



Prenumeratę zamówić można telefonicznie 81833. Al. Jerozolimskie 3-a.

Koncert u prac. handlowych

W sobotę, dnia 4 grudnia r. o godz. 20.15 odbędzie się w lokalu Związku Zawodowego Pracowników Handlowych, Przemysłowych i Biurowych R. P. Sienna 16, koncert, zorganizowany staraniem Wydziału Zebrań Towarzystwa tegoż Związku.

W koncercie tym m. in. wystąpi po raz pierwszy w Warszawie, utalentowana śpiewaczka, art. operowa, p. Janina KIEPURA - OSIECKA. P. Kiepura-Osiecka jest stryjczną siostrą Jana Kiepurę i Władysława Ladisa.



MOTOPIRIN MOTOR

JERZY MARIUSZ TAYLOR

24)

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

Dr Johnke spojrzał bystro na swojego gościa. Po raz pierwszy poczuł nieufność w stosunku do tego dziwnego duchownego, co zgłosił się sam do związku, którego charakter był przecież wyraźnie pogański, najzupełniej sprzeczny z jego powołaniem. A te pełne zdumienia pytania wskazywałyby raczej, że całe nie rozumie idei, której służył młody naukowiec. Po cóż więc przystępował do organizacji, z której dążeń nie miał pojęcia? Byłby prowokatorem? Dr Johnke poczuł, że zęby zwierają mu się mściwie na samą myśl o takiej możliwości. Bezwiednie zmacał ręką tkwiący w kieszeni rewolwer, z którym nie rozstawał się nigdy. To go uspokoiło.

— Nie — odpowiedział z naciskiem. — Nie mylicie się, bracie Michels. Mnie nigdy nie chodziło o emigrację. Z jakiej racji miał byśm stąd emigrować? My Niemcy tu nad Wisłą jesteśmy w naszych gniazdach rodowych takimi samymi autochtonami, jak Polacy. Czyż dziadowie tych chłopców nie siedzieli tu tak samo, jak w swoim czasie ich własni ojcowie i nawet pradziadowie?

I nagle porwał go dziki, namiętny entuzjazm. Blado-niebieskie oczy błysnęły spod okularów ogniem fanatyzmu, zapadnięta pierś wypełniła się, prawa dłoń podniosła się ruchem wodza rozkazującego tłumowi, z ust poczęły zrywać się wykrzykniki beznadziejnego, ale posiadającego zaraźliwą moc przemówienia.

Mówił jakby miał przed sobą nie jednego słuchacza, ale całe audytorium, które trzeba było porwać ognistością słów, przekonać o słuszności i pięknie podejmowanych dążeń i celów. Wpadł w stan, w którym stało mu się obojętne, czy słucha go człowiek pojedynczy, czy też tłum. Ogarnęła go nie-

pohamowana, zaślepiająca namiętność urodzonego przewodcy mas — ludowego trybuna, apostoła nowej religii.

Już nie mówił, ale wykrzykiwał. Oderwane zdania padały w próżnię ciężkie jak pociski. Niby grad zabójczych kul wpały się słowa, zachwał i bluźniercze, dyszące nienawiścią, grożące zagładą wszystkiemu, co nie było niemieckie. W szale światoburczej egzaltacji zapominał, gdzie się znajduje. Zniknęło mu z oczu wszystko. I ten jedyny słuchacz i zawałone papierami biurko i przybrudzona, postrzępiona mapa, wisząca krzywo na stojącej w rogu tablicy. Surowa i uboga kancelaria szkolna przeobraziła się nagle w rozległą salę wspaniałej Walhalli, a w ciszy nocnej rozległ się galop walcirki, pędzących na podbój słowiańskiego świata i gdzieś daleko zwycięska fanfara brzmiała róg Zygryda, obwieszczającego zdobycie skarbu Nibelungów.

W tej chwili otrząsnął się nagle, jak nagle wpadł w stan fanatycznej ekstazy. Strona praktyczna wzięła górę nad romantyzmem. I znów w kancelarii szkolnej zapachniało mocnym aromatem grzanego piwa. Skarb Nibelungów! Złoto Renu! Czy brat Michels wie coś o ich wielkim przedsięwzięciu? Czy brat Michels mógłby okazać im w tym jakąś pomoc?

Pytanie zostało zadane tak zręcznie i tak podchwytliwie, że pastor, gdyby coś wiedział, musiałby zdradzić się natychmiast.

Ale nie. Pastor patrzył na niego, mrugając zaczerwienionymi oczami, widocznie oszołomiony tym wszystkim, co przed chwilą usłyszał.

— Złoto Renu? — powtórzył w zamyśleniu, tarmosząc swoją wypielegnowaną brodę. I roześmiał się nieoczekiwanie. — Ha! Ha! Tak! To byłaby dobra rzecz mieć całe złoto Renu. Wystarczyłoby na pańską robotę, panie doktorze. Tylko że Ren daleko. Ha! Ha!

Już stojąc w drzwiach, ubrany w ciężką baranię, pastor Michels śmiał się jeszcze. Śmiech ten jednakże brzmiał dość nieszczerze, a poza tym łatwo było zauważyć, że pastor Michels każdym swym ruchem zdradza oznaki żywego zaniepokojenia i chęci opuszczenia jak najszybciej kancelarii szkolnej. Nauczyciel więc mógł nie wątpić o rzeczywistym

wyniku swego płomiennego przemówienia. Pastor Michels był po prostu wystraszony.

— Pewnie nie zgłosi się już więcej. Tym lepiej — mruknął ze złośliwym uśmiechem dr Johnke, zamykając za nim drzwi.

Był z siebie zadowolony zupełnie. Jeżeli zbyt pochopnie zgodził się przyjąć pastora do Związku, to przecież nie zaryzykował niczym. Nie wyjawiał mu żadnej rzeczywiście ważnej tajemnicy organizacji. A ostatnie posunięcie w rozmowie przyniosło mu tylko namacalny dowód, że stangret księżny nie wygadał wszystkiego. Uspokoiło go to zupełnie i złagodziło gniew. Oskar Knopf nie był zdrajcą. Pastor nie wiedział o „złocie Renu”.

Dr Johnke machnął ręką i zabrał się do pisania przerwanego raportu.

— Oto jest starsze pokolenie — myślał starając się pochwycić znowu wątek treści meldunku. — Z nimi zrobić nie można nic, bo żaden z tych starych groszorołów nie może zrozumieć naszych celów.

Pomimo wszystko nie czuł żadnej niechęci do poczciwego pastora. Bawiło go wspomnienie o pociesznym strachu, jaki wyrażał z jego zaczerwienionych oczu w chwili, gdy mowa zesłała na służbę wojskową, jaką chłopcy z kolonii mają przeżyć w Niemczech.

— To są głupie i beznadziejne stare gąbki, przyrośnięte do żerowiska i obawiające się każdego ruchu, który mógłby pozabawić je stawy — myślał uśmiechając się pogardliwie.

Tak! Któż z tych starych chłopów, ogłupiałych w codziennej pracy nad wydobyciem z ziemi pożywności dla siebie i własnej rodziny, zdolny byłby do tak wspaniałego przejęcia się sprawą zgermanizowania kolonii Na Grobli jak trzej chłopcy Wilhelma Ernina i ich siostra Hilda? Ba! Hilda! Dr Johnke z prawdziwym rozróżnieniem myślał niekiedy o tej grubej, białawej blondynie, która odzywała się rzadko, słuchając rozkazów zwierzchnika bez zastrzeżeń i oddając organizację duże usługi. To ona przecież przyniosła wiadomość, że po Teresinku kręci się jakiś człowiek z podejrzaną skrzynką.

(D. c. n.).